№ 35. Warszawa, dnia (19 Sierpnia) 1 Września 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie . . .	rs. 1	kwartalnie . .	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu		półrocznie . .	„ 2.50
kop. 10.		rocznie . . .	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9: w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane” wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i zagraniczne. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Władysław Umiński.

Na szczytach.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

— Ależ ja nie mogę jechać z wami! — zawołał Benedetto — w żaden sposób nie mogę! Właśnie rozpocząłem ważne doświadczenie, które...

— Twoje przyrządy mogą poczekać; za kilka godzin powrócimy—mówiła błagalnie Angela—mój Benedetto, zrób to dla mnie i jedź; zabraliśmy kolacyę, muzykę. Pan Marco obiecał nadto zaśpiewać ze mną. Zobaczysz jak nam będzie przyjemnie. No, nie namyślaj się, bo to brzydko z twej strony, że nie dotrzymujesz nam towarzystwa.

— Angela nie na żarty ma do ciebie urazę—rzekł pan Dolce.

— O co?—zawołał zdumiony Benedetto.

— I ty się jeszcze pytasz? — odezwał się Marco.—Kto posiada taką narzeczoną, ten nie zamyka się na cały rok w niedostępnej warowni, nie zapomina o Bożym świecie, no i stara się wyglądać po ludzku. Tłómaczę cię jak potrafię, lecz niestety nie zawsze mi się to udaje. Teraz naprzykład zupełnie nie wiem, co powiedzieć na usprawiedliwienie twoje, chyba to, że nauka, której oddałeś się całą duszą, jest zazdrosną kochanką i nie znosi rywalizacyi, nawet ze strony panny Angeli...

— Gdybyście prosili mnie wczoraj na wycieczkę, chętnie byłbym się zgodził — rzekł zafrasowany Furini — ale dziś muszę się wyrzec przyjemności towarzyszenia wam. Marco doskonale mnie zastąpi zresztą, będzie śpiewał za dwóch... Nieprawdaż?

— Oh, co to, to z największą przyjemnością!—zawołał Nogari, uśmiechając się; ale zrozum-że, nieszczęśliwy człowieku, że tu idzie o ciebie, że signorina Angela pragnie cię wyrwać ztąd na świeże powietrze, bo inaczej umrzesz, a co najmniej schudniesz, zbrzydniesz...

— Mój Benedetto, jedź, uczyń to dla mnie!—prosiła dalej Angela, przymilając się do narzeczonego — od pół roku nigdzieśmy razem nie byli, a od miesiąca nie widzieliśmy się nawet u siebie w domu.

— To trudno, droga Angelo—odparł Benedetto, chmurząc się — pracuję, więc nie mam czasu; pragnę ukończyć najprędzej swoje badania, a potem nie rozłączymy się już ani na chwilę. Tylko cierpliwości, odrobinę cierpliwości—wielkich wynalazków nie dokonywa się w przeciągu paru tygodni.

Angela smutnie zwiesiła głowę; w jej czarnych źrenicach zabłysły łzy, usta koralowe zadrgały boleśnie, płacz dławił ją w gardle.

— Nie?—zagadnęła krótko.

— Kiedyindziej najdroższa, nie mogę przerwać doświadczenia. Oh, zdaje mi się, że się udało—chodź—spojrzyj, tu, w tę rurkę!—mówił, pociągając do przyrządu Angelę—czy dostrzegasz subtelną parę, osiadającą na zimnem szkle?

Ale młoda dziewczyna nie widziała nic, łzy bowiem, które daremnie starała się ukryć, zaciemniały jej wzrok i serce ścisnęło się boleśnie. Tak, nie powinna się łudzić; ten człowiek kochał bardziej swoje retorty, maszynki i rurki, aniżeli ją, Angelę; nic go już nie obchodziło na świecie, prócz doświadczeń—dla nich poświęcał cały swój czas, wszystkie swoje myśli, o nich tylko marzył, one tylko dawały mu szczęście i upojenie.

I nagle w duszy Angeli podniósł się bunt przeciwko tym martwym, a budzącym taką namiętność w sercu jej narzeczonego, przedmiotom; pragnienie pozbycia się tych rywali, które zabierały jej serce poczciwego i kochanego Benedetta; nie wiedząc nawet co czyni, podniosła parasolkę ażeby roztrzaskać przyrząd, przed którym stała.

Powstrzymał ją jednak okrzyk Furiniego—okrzyk, w którym brzmiała taka nieopisana trwoga, połączona z groźbą, taka namiętność, że Angela zadrżała, i bezwładnie opuściła rękę.

— Co czynisz!! Chcesz zniszczyć dzieło nad którem pracowałem trzy miesiące i które kosztowało mnie dziesięć tysięcy lirów — mówił Benedetto zdławionym głosem, odsuwając od przyrządu narzeczoną. To... to byłoby niegodziwością z twojej strony...

Ale młoda panna szybko odzyskała panowanie nad sobą; twarz jej rozjaśniła się nagle wesołym uśmiechem.

— Zażartowałam sobie — rzekła — tak, zażartowałam, ażeby się przekonać do jakiego stopnia kochasz swoje szkło! ha, ha, ha!..

Furini był zanadto wzburzony, nie dostrzegł więc goryczy zawartej w tym śmiechu.

— Kochasz?.. — powtórzył zdziwiony. — Cóż za wyrażenie Angelo! Pracuję wytrwale, bo mi pilno osiągnąć cel, który nas oboje uszczęśliwi.

— Ach, Benedetto, mnie nic już nie trzeba—odparła smutno Angela.

— Będziesz bogatą, bardzo bogatą—ciągnął dalej Furini, zapalając się—złoto rzucę tobie pod nogi, a sobie zatrzymam zadowolenie wewnętrzne i sławę. Bo powiedz, czy to nie najwyższa rozkosz potężnym wysiłkiem pchnąć ludzkość ku prawdzie, ku szczęściu, wydrzeć przyrodzie tajemnicę, tak ważną, że dawniej poznane wydają się rozwiązaniami zagadek dziecinnych—ukazać nauce nowe horyzonty, wzbogacić rozum nową bronią? I ja dokonam tego wszystkiego, ja! Poczekajcie miesiąc, pół roku najdłużej, a zobaczycie, że wyjdę z tej jaskini, jak nazywacie moją pracownię, zwycięzcą, rzucę światu wielką prawdę, zleję nań potok dobrodziejstw...

Goście słuchali w milczeniu tego wybuchu, patrząc z podziwieniem w błyszczące fosforycznie oczy, w płonące żarem policzki Benedetta, jedna tylko Angela stała ze spuszczoną głową i połykała łzy toczące się jej po policzkach.

Ileż to razy bowiem podobne zdania obijały się o jej uszy; z początku chwytała je chciwie, jak lilia rosę, upajała się niemi wraz z narzeczonym, wybiegała na wyżyny, dokąd on ją wynosił czarem potężnego słowa, i czekała spełnienia marzeń. Była zbyt mało wykształconą, aby zrozumieć zadania i dążenia Benedetta, zdawać sobie sprawę z jego prac, ale ufała mu, wierzyła w jego geniusz, oczarowana, podbita oddała mu swe serce, widząc że i on ją pokochał. Lecz miesiące, lata nawet płynęły, a dążenia młodego uczonego nie przyoblekały się w szatę rzeczywistości, on jednaki, daleki od cofania się wobec przeszkód, pracował niezmordowanie, zatapiał się coraz głębiej w badaniach, stwarzał sobie świat obcy dla niej i zamykał się w nim. Cel ów, za którym gonił Furini, uciekał przed nim, jak błędny ognik przed stąpającym wśród ciemności wędrowcem—uciekał, odprowadzając coraz dalej w nieznane strefy jej narzeczonego...

Nic więc dziwnego, że w głębi duszy młodej kobiety zrodziło się zniechęcenie, a nawet powstały wątpliwości.

Czy Benedetto nie łudzi się czasem? Czy nie znajduje się na fałszywej drodze? Czy nie wkracza w dziedziny niemożliwości, hypotez jałowych, czy nie dał się może uwieźć pozorom? czyżby, o Boże, umysł jego, nadszarpnięty tak długimi i namiętnymi wysiłkami, nie zamroczył się czasem?

— Pan Nogari mówił mi wiele o panu — odezwał się Orbetto—pragnąłbym bardzo dowiedzieć się, na czem polega właściwie pańskie odkrycie czy wynalazek. Uprzedzam tylko, że jako lekarz niezbyt się znam na chemii ani na fizyce.

— Tem lepiej, tem lepiej — rzekł Benedetto — przed specyalistą nie mógłbym być całkiem otwartym; pojmujesz pan dobrze, że o ważnych odkryciach nie mówi się, zanim nie zabezpieczy się prawa własności do nich. Świat uczony roi się od rzemieślników, pozbawionych twórczej i samodzielnej myśli, którzy węszą tajemnicę, jak wyżły zwierzynę, i nie cofają się nawet przed pirateryą, byleby zwrócić uwagę na siebie. Z lekarzem ostrożność jest zbyteczną; powiem panu w paru słowach, co zrobiłem i osądź sam.

— Słucham niecierpliwie — rzekł Orbetto, kładąc swój perłowego koloru cylinder na laboratoryjnym stole.

— Wiadomo panu zapewne — zaczął wolno Benedetto—że dawniej przed Faradayem, Davym i Lavoisierem, uważano wodę, wapno, powietrze, i wiele, wiele substancyi za ciała proste, nie dające się rozłożyć na żadne inne pierwiastki... Niebawem jednak przekonano się, że tak nie jest. Wapno rozszczepione prądem elektrycznym, rozpadło się na tlen i metal zwany wapń; woda ma dwa gazy: tlen i wodór, powietrze, jak się okazało, jest mięszaniną kilku pierwiastków. Dziś chemia stoi wobec siedemdziesięciu kilku ciał prostych, których żadnymi środkami niepodobna już rozłożyć na bardziej proste... Czyż jednak dzisiejsze elementy, tak różnorodne w swych własnościach, są rzeczywiście elementami? Nauka urzędowa opierająca się na doświadczeniu, odpowiada: tak; ja zaś twierdzę, że nie. Mniemane pierwiastki pozostaną dopóty pierwiastkami, dopóki komuś nie uda się znaleźć sposobu rozłożenia ich na substancye najprostsze... na ultra elementy. Otóż ja odkryłem właśnie taki sposób. Patrz pan, w tym oto przyrządzie odbywa się rozkład siarki pod wpływem specyalnie stosowanych wyładowań elektrycznych. Para tego *pierwiastku* rozpada się na tlen i pewien lekki gaz, któremu jeszcze nie nadałem nazwiska, ale którego własności zdołałem już trochę zbadać...

— Przypuszczam, że muszą być niezmiernie ciekawe.

— Ciekawe? powiada pan — zdumiewające, cudowne!—zawołał z uniesieniem Benedetto— a jednak potwierdzają one nasze hypotezy, dotyczące jednorodności materyi — hypotezy wypowiedziane już przez tylu głębokich myślicieli.

Znasz pan tablicę pierwiastków, ułożoną według wagi ich atomów—prawda? Na pierwszy rzut oka widzimy, że elementy chemiczne tworzą tam pewne grupy, powiedziałbym nawet rodziny, posiadające wspólne cechy, podobne do siebie pod względem własności fizycznych, wytwarzające analogiczne związki. Siarka należy do grupy tlenu; ciężar atomu tego gazu wynosi 16, ciężar zaś atomu siarki 32, czyli jest dwa razy wyższy. Widzisz pan więc, że nie błąkam się w strefach leżących poza wiedzą pozytywną, lecz używam jej za przewodniczkę. Dzięki temu właśnie wierzę, że się nie mylę, że wynalazek mój, to nie urojenie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Listy człowieka szalonego

p. Andrzeja Niemojewskiego.

(SPRAWOZDANIE).

(Dokończenie.)

Ten pojedynek, to epizod fabuły wcale nie do opuszczenia. Cudaczny był przy wyzwaniu ów Julek, którego szalony ironicznie nazywa nadczłowiekiem, cudaczny jest i przy akcyi pojedynkowej, ale przyznać wypada, że sympatyczniejszy i bardziej wartościowy, niż kiedykolwiek. Rycerskiem, w ścisłem znaczeniu, zachowania się jego nazwać nie można, ale jest dużo rycerskości w jego cygańskiej i fantazyackiej manierze. Za świadków obrał sobie malarza Medweja i kogoś tam jeszcze—szalonemu sekunduje Szaniawski zawezwany z Krakowa i Rymkowski poeta. Zima, śnieg, mróz siarczysty; słychać skrzyp kół powozów; zjeżdżają się obie strony w jakiejś miejscowości poza rogatką Grochowską.

Nasz szalony jest mocno normalny, Rymkowski nazywany pieszczotliwie Rymkosiem, podniecony jak człowiek, któremu chodzi o życie kogoś blizkiego. Wspaniałym prawdziwie jest półwaryat Julek. Niepotrzebnie wyprowadził na plac tego, Bogu ducha winnego, człeka szalonego, ale się z nim trzeba tutaj pogodzić koniecznie, bo jest po mistrzowsku narwany. Już ich ustawiać mają na mecie, gdy nagle na skraju widnokręgu rozpoczyna się akcya, która pochłania całkowicie artystę. Prosi tedy sekundantów o kilkanaście minut zwłoki, bo cóż tam znaczy taka marna sprawa jak pojedynek wobec tego, co tu będzie do obejrzenia. Udzielają mu te kilkanaście minut, a on patrząc na wschód słońca, ma improwizowany odczyt tej treści:

„Uważajcie panowie teraz na ten ton—tak, trochę za jasny karmin—jestto za ordynarne— takby nie można malować — każdy to przyzna—prawda?—niebo dobre, miękkie, omdlałe, ale także nieco ordynarne—to wina położenia geograficznego, w jakiem się znajdujemy — tak—niezawodnie — bardziej na południe wychodzi to wszystko mniej ostro, zlewa się ze sobą, modyfikuje—dlatego też i społeczeństwo jest tam więcej wyrobione—większe ma poszanowanie dla sztuki—tak—a przedewszystkiem dla artystów—prawda? A teraz patrzcie panowie — o! jak tu malować tę pstrokaciznę— w takie kolory ubierają się Kaśki i Maryśki, gdy idą do kościoła, ale nie szanujące się niebo—hi, hi, hi! — porównanie niezłe—co? Wolałbym, żeby zamiast tego jednostajnego lasu były jakie wzgórza, albo jakie jezioro...“

Przerywają wreszcie temu maniakowi, ustawiają walczące strony na mecie, szalony dostaje kulkę w bok, ten opętany przez grę barw ma przestrzelony kapelusz, ale akcya cała nie kosztowała go więcej, jak wypalenie papierosa. I trzeba mu w końcu przyznać, że niema w nim pozy za grosz jeden, i że jest wspaniale zwaryowany w swoim kierunku wyłącznym, a jako taki zasługujący na wyodrębnienie z pomiędzy całego tłumu frazesowiczów kłamiących i sobie, i światu, i temu wreszcie tajemniczemu bożyszczu, które zstępuje między śmiertelników niekiedy, ale jak widać, tylko między takich, których fanatyzm jest szczery i wypełniający im dusze niepodzielnie.

Przychodzi teraz na szalonego człowieka kilkotygodniowa pokuta w łóżku, gdzie pielęgnuje go z całą troskliwością Rymkosio, a i Bronka także, która wywieziona przez Szaniawskiego do Krakowa, powraca sobie, bo tam miała się niby uczyć pracy, a praca dla niej jest żywiołem niemożebnym.

Bardzo posępnemi barwy, ale z wielką ścisłością i konsekwencyą odmalowany jest stan psychiczny tej istoty upadłej. Tak doszczętnie wyssało artystyczne cygaństwo wszystkie kobiece pierwiastki z jej duszy nieszczęśliwej, że chwilami wydaje nam się prawie potworną. Ma poczucie swego upodlenia, wie, że ci wszyscy, którzy ją tak okradli, to są straceńcy prawdziwi, ale lgnie do nich siłą nałogu; działa na nią ich błyskotliwy dowcip, a więcej od dowcipu żargon ich wysłowienia — wreszcie nie zdając sobie sprawy dokładnie, czuje jednakże, że taka, jaką jest dzisiaj nie byłaby dla świata, ani świat dla niej. Typowe zrezygnowanie z człowieczeństwa jest w tej dziewczynie.

Szalony przez wdzięczność za jej troskliwość serdeczną probuje ją katechizować, do-

radza wytrwanie w pracy, przyobiecuje pomoc swoją, przedstawia poniżenie—daremnie, wszystko daremnie! Ona przyparta do ściany, znajduje już tylko, aby się utrzymać przy swojem, jeden wyraz na własną obronę: „A niech tam!“ Cała bezmierna otchłań upadku i cynicznego zaparcia się godności kobiecej jest w tym wykrzykniku.

Szalony przedstawia jej naprzykład, że to był krok szlachetny ze strony Szaniawskiego, to oddanie jej do szwalni w Krakowie, ale ona inaczej ocenia ten krok ze strony swego ex-opiekuna.

— Gucio tak mówił?— pyta.—A to gałgan! A to łgarz!

— Dlaczego?—jakim sposobem?

— Ba! Gucio wziął się teraz do malowania nastrojów, to już mu więcej nie jestem potrzebna. Niech mu nastroje pozują.

— A przecie zachęcał Brońcię do pracy — perswaduje szalony.

— Oj, oj — jaki też z pana człowiek. Namawiał do pracy, bo chciał się mnie pozbyć, a żal mu było ustąpić komu innemu.

„Ustąpić“ mówi o sobie kobieta. To jedno wymowniejsze jest od wszystkiego.

A jednak, jak chce mieć autor, i w takich przepaściach wyciąga się niekiedy ku straconym ręka ocalenia. Tą ręką zbawczą był dla nieszczęśliwej Rymkowski. Dziecko ludu, zaledwie pamiętający swoją matkę, kobietę prostą, okrwawiwszy sobie dłonie po ciernistych drogach, któremi szedł ku światłu, przejął się Rymkowski dla tej istoty nieszczęśliwej jakiemś szczególnem uczuciem, które było po części litością, po części braterstwem w niedoli, a może w części pewnej i przywiązaniem w zwykłem rozumieniu. Odsunięty od życia, schylił się ku poniżonej i upadłej. Zrozumiała psychologia wzajemnego do siebie stosunku tych dwojga ludzi w całym przebiegu jest bez zarzutu. U niego wstyd pewien męzki wywołany przez tę skłonność — u niej zrazu niezrozumienie zupełne, chwilami żal graniczący z rozpaczą, poczucie hańby własnej, zwrot ku przeszłości, a w końcu... w końcu sromotny a nieuniknony powrót do błotnistej kałuży, której wyziewy skaziły jej duszę na życie całe.

Wstrząsają czytelnikiem do głębi epizody tak wysokiego tragizmu jak ten, który w skróceniu dajemy poniżej.

Dzieje się to w czasie, kiedy człowiek szalony naglony jest przez Rymkowskiego, aby skłonił Bronkę do połączenia się z nim związkiem małżeńskim. Dnia pewnego wyszła dziewczyna na miasto, zkąd powróciła w stanie rozstroju godnym pożałowania. Naciskana, opowiada, co jej się dzisiaj zdarzyło na ulicy.

— Idę Marszałkowską — powiada wśród łkań — patrzę, serce przestało mi na chwilę bić... Jezus, Marya! krzyknęłam. Dzika radość, szalona radość ogarnęła mnie. Biegnę z wyciągniętemi rękami... A on... odwraca się, udaje, że mnie nie poznaje... Wie pan, tatuńcio! Mój tatuńcio! Mój stary, mój siwiutki tatuńcio! Łzy rzuciły mi się do oczu! Wie pan, ja jeszcze nie wierzyłam. Idę za nim kilka kroków z wyciągniętemi rękami... patrzę... ta sama burka i czapka ta sama... To on—on... Chwyciłam go za łokieć... A on nawet twarzy nie odwrócił... nawet słowa nie wyrzekł... tylko patrząc gdzieś przed siebie, tą samą ręką lekko odgarnął mnie od siebie. Wie pan... stanęłam... zdrętwiałam. Patrzę, a on idzie dalej ze spuszczoną głową... niknie w tłumie... Zakryła go gromadka wracających z pensyi dziewczynek. Nawet na mnie nie popatrzył—nawet po tylu latach głosu jego nie usłyszałam... nic... nic... jak obcą.. gorzej jak obcą... Tatuńcio wstydził się mnie... wstydził.. siwy, stary mój tatuńcio.

Niedługo trwają takie przypływy. Życie straconych dopomniało się, jak zobaczymy, o swoją ofiarę, a człek szalony kołatał już tylko do reszty moralnego poczucia tej ofiary, aby Rymkowskiemu opowiedziała, niczego nie tając, całą przeszłość swoją. Ona niedobrze pojmuje tę konieczność, ale bądź co bądź waha się, chwieje.

Sfera artystyczna zapomina potrochu o obojgu, a tymczasem żywoty ludzkie toczą się dalej zwykłym nurtem wszędzie i w tej kolonii artystyczno - literackiej także. Artyści malują nastroje odsądzając od czci podłe filisterskie tłumy, z racyi, że te nie mogą odgadnąć, co w tych nastrojach wielkiego, więc jeśli się stykają z filistrami, to chyba na ich filisterskich obiadach i rautach. Człowiek szalony pisze swoje fragmenty z ksiąg Sybillińskich, za które jedni go wynoszą pod niebiosa, inni mięszają z błotem, wszystko tu niby wre życiem, niby rusza się i burzy, a wiele tam w tem w istocie życia—wiele ekscytacyi duchowej natury, a wiele wyziewów alkoholu — niktby nie doszedł. Oto znowu jeden z takich pikników artystycznych. Są tam znajomi nasi: Szaniawski, Julek, Medwej, jest i wielu innych. Wrzawa, spory, rozmowa o wszystkiem i o wszystkich, przerywana tylko od czasu do czasu wykrzyknikami tego tonu i wysłowienia: „Tyś nadczłowiek — ja nadczłowiek. Reszta tłum i zgraja. Pijmy na wieczne zbratanie się!“

Już niewiele rozumie jeden drugiego, a w tem ktoś podnosi kieliszek—słychać jakiś śmiech kobiecy, a wreszcie głos: „Wszystko furda! Co tam starzy gadają! Raz się żyje na świecie. Niech żyją nadludzie!“

To Bronka zjawiła się nagle i niespodzianie. Złe czy dobre losy Rymkowskiego sprowadzają tu i jego także—stoi teraz jak wryty i patrzy w te oczy podniecone trunkiem — w tę twarz rozpłomienioną.. i ucieka, ucieka zdala od tego piekła całego.

Bronka się topi... Rymkowski zatraca bez śladu.

Oto jest zawiłość cała.

Człowiekowi szalonemu zarzucą jak przypuszcza autor, że wzięty pod pióro temat korespondencyi jest zużyty, że historya Bronki przedstawia się może jako materyał literacki dosyć okazale, ale jako glina do lepienia teoryi społeczno-etycznych nie ma wartości żadnej. Że tutaj wszystko co się stało, stało się normalnie, bo i ładne a głupie dziewczęta są u nas rzeczą normalną, i uwodzenie jest rzeczą normalną, i poczuwanie się przez artystów i poetów do kapłaństwa, mimo drobnych nieformalności wedle mieszczańskiego zapatrywania, jest normalnem, i sama nawet z ich strony pogarda dla t. z. bezmyślnych filisterskich tłumów, i wszystkiego, co jest poza sferą artystyczną, także rzeczą zupełnie łatwą do wytłómaczenia.

A tymczasem człowiek szalony gotów będzie upierać się przy tem, że w ten sposób artyści więcej szkód przynosiliby ludzkości, niż korzyści, gdyż ludzkość w właściwem tego słowa znaczeniu nie widuje wcale ich arcydzieł zakupywanych przez bankierów, dla których, nawiasem mówiąc tłumy także są podnóżkiem tylko, a natomiast ludzkość ta patrzy codziennie na to, co owi nadludzie robią z jej Bronkami, patrzy na ich butę wobec reszty, i na ich uwzględniania pewne tych bankierów jedynie.

Tak się kończy fabuła zawarta w listach człowieka szalonego i takie są dające się z niej wywieść konkluzye stosunku do społeczeństwa—nie tyle samej sztuki, ile jej przedstawicieli dzisiejszych.

Różnią się, przyznać należy, od siebie te pojęcia i rozróżniane być muszą bardzo starannie.

Co się tyczy poczucia piękna, pragnień ideału, to chyba złożyło to społeczeństwo wielokrotne dowody, iż nietylko obcjętnem nie jest na nie, ale że owszem ma pod tym względem swoje wielkie i zdecydowane umiłowania, i swoich wielkich aż do fanatyzmu uwielbianych, którym stawiało i stawia w sercu swojem pomniki trwalsze od śpiżu. Pamiętać wszakże należy, że jako zbiorowość wielka, z przeszłością i przyszłością, ma ona ideały swoje, których wartości i ważności jest całkowicie świadomą, których sobie nikomu wytrącić nie pozwoli, ani ich zastąpić czemkolwiek efemerycznem, zależnem od mody i jej kaprysów. Ponieważ zaś zakusy takich wytrąceń i zastąpień objawiły się w sferze artystycznej i literackiej twórczości doby ostatniej, przeto powstał za ich sprawą cechujący chwilę aktualną rozdźwięk bardzo wyraźny między tej sztuki przedstawicielami a całym, szeroko pojętym, oświeconym ogółem naszym.

Oskarżeń o obojętność w bardzo namiętnej, a często bardzo trywialnej formie rzucanych, społeczność ta nie podejmuje, uważając je za oznaki niedojrzałości, a wszelkie utyski zawiedzionych t. zw. męczenników ideału, regestruje sobie tymczasem w rubryce, jeśli nie passywów, to wartości wątpliwych, jako zboczeń powstałych na skutek niewniknięcia w ducha i istotę tego, co u nas podnosić może umysły, zjednywać serca, udoskonalać i uszlachetniać dusze ludzkie.

W tej więc rubryce mieszczą się: i hasła „sztuka dla sztuki“ i wykrzykniki o arcykapłaństwie i nadczłowieczeństwie artysty, który powiada, że gardzi podłym tłumem, i puste, beztreściwe oklepanki o wyodrębnieniu sztuki od życia, jej wszechwładztwie i wyższości ponad wszelkie czyny i szlachetne aspiracye ludzkiego ducha.

Te wysokiego komizmu frazesy nikogo nie gniewają, ani wzruszają, mogą tylko nudzić, i w istocie nudzą niemiłosiernie.

Natomiast wszelką twórczość, w której bije nieśmiertelne tętno harmonizujące się z tętnem wielkiej zbiorowości, wita społeczność nasza wyciągnięciem ramion serdecznem, i nie ją z pewnością w takich wypadkach o brak entuzyazmu, a dla wybranych i o niedostatek wdzięczności pomawiać wolno.

Jeszcze słów kilka o utworze ze stanowiska artystycznego. Wiele w tej sprawie mówić nie będziemy. Rzecz tak głęboko wzięta i tak

serdecznie odczuta przez poetę, jakim jest niezaprzeczenie p. Andrzej Niemojewski, wyjść musiała koniecznie wysoce dodatnio; tego jej nikt z czytających nieodmawia i nie będzie odmawiać, choćby insynuacye z obozu podrażnionego podszeptywały to i owo. Podszepty takie mają to do siebie, że są czystą tylko stratą czasu i czernidła drukarskiego, a stanowią jeden tylko więcej argument przemawiający za zdrowym, niepomylnym prawie sądem naszego społeczeństwa.

Poza kwestyą literacką, niechaj nam będzie wolno nadmienić, że wypowiedzeniem się odważnem i całkowitem w sprawie, która dla piszącego przedstawia wiele punktów drażliwych, podniósł p. Andrzej Niemojewski pracę swoją do wysokości spełnionego obowiązku.

A. S.

Powieść o Magórze.

z cyklu „Tatry."

Zdyszani, znużeni stajemy u wejścia do groty. Z wnętrza jaskini wieje na nas przeraźliwym chłodem. Ciemno, ściany wilgotne, sklepienie wsparte na słupach. Tu jest jakaś groza w tej pustce i w tem milczeniu. Może tu na noc zachodzi *On*, jak o niedźwiedziu mówią górale? W głosie ich brzmi wtedy nabożna trwoga dawnych czcicieli zwierząt. Może i teraz... może podniesie się z za którego słupa i z krwawą, rozwartą paszczą wyjdzie na nas?

— Zimno i niemiło, nieprawda? To dziwne, że człowiek dzisiejszy ma taki wstręt do jaskiń, które były przecież pałacami człowieka dawnego. Ot, gdyby pani żyła jakieś tysiące, tysiące lat temu i była szczęśliwą małżonką jakiego jaskiniowca, grota ta byłaby waszem *home*. Odwołuję się do znanej wyobraźni pani. Niechaj ona wywoła to widzenie. Krzywi się pani?

— A panu czy uśmiecha się ten obraz?

— Ja myślę, że tu mogłoby być dobrze... w pewnych warunkach.

— Wyjdźmy, już zimno.

Napowrót ogarnia nas jasność dzienna. Nad głowami naszemi nie zwiesza się już, miliony pudów ważąca, skała. Już owionął nas ciepły życiodajny powiew górski.

— Niech pani patrzy, nasi chłopcy zakładają już ognisko. Tym nie chodzi o krajobrazy, ani o wrażenie. Przyszli w góry, by rozpalić ogień i uwarzyć *harbę*. Góralczyk i uczeń warszawskiego gimnazyum mają jeden cel wspólny, godzą się doskonale w pragnieniach i upodobaniach. Umieśćmy się tak, żeby dym nie gryzł nas w oczy. Ot tu, oprze się pani o skałę. Staszek, a gdzie nasze pledy? Musi się pani okryć, bo to początek bardzo chłodnego wieczoru. Tak dobrze. O czem pani myśli?

— Kto był Magóra?

— *That is the question.*

— Musi przecież górę tę osnuwać jakaś legenda.

— Ha, zapytajmy dziecięcia ludu. Staszek, chodźno tu smyku! Powiedz mi dlaczego ta góra nazywa się Kopą Magóry?

— Eh, to tam *nie wiedzieć*.

— A któż był ten Magóra?

Chłopak robi coraz głupszą minę i milczy.

— No, dziecię ludu, wracaj do ognia, uzbieraj gałęzi i uwarz nam *harby* w kotliczku, dużo *harby*, pamiętaj! Widzi pani! „Daremna praca, marny trud, bezsilne złorzeczenia, przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia!" Magóra się przeżył i nawet w legendzie nie istnieje już. Czemu pani tak milczy? Pieniny dalekie toną w złotej mgle, dziwnie subtelny ton! Pani nie patrzy?.. Teraz złoto przechodzi w czerwień, w purpurę... tę krainę górską owiewa teraz krwawa mgła... dawniej złote, obecnie krwawe... jak w życiu... O czem pani myśli?

— Chcę cudu, co przeżyte kształty powraca do istnienia.

— Ha! Dla kogóż miałyby się dziać cuda, jeśli nie dla pani? Ale teraz, *harba* gotowa, napije się pani, a potem siądziemy przy ognisku i wywoływać będziemy ducha Magóry. Może przyjdzie widmo olbrzymie, blade i stanie przed nami w krwawych żarach ogniska, w kłębach dymu... Chce pani?

— Tak.

— A więc przedewszystkiem proszę okryć się cieplej i napić herbaty. Dolać pani koniaku? Nie? Pani nie używa? Co do mnie używam. A nawet w tej chwili potrzeba koniecznie, by pary alkoholowe buchnęły mi do mózgu i zapłonęły tam jasnem ogniskiem, w którego żarach narodzi się legenda.

— Wolałabym, żeby tam gorzał inny, nie alkoholowy płomień.

— A może goreje i taki, co spala na śmierć. *Nie wiedzieć* proszę pani! Ale ten alkoholowy to tylko fajerwerk, w którego blaskach ukaże się duch Magóry... Może jeszcze szklankę?

— Ależ nie, dziękuję! Milczał pan tak długo zapatrzony w dal, myślałam, że objawi się coś nareszcie, a pan zapytuje o herbatę!

— To nie, to nie! Tylko teraz proszę o ciszę. Tak — dobrze. Ja sam mogę myśleć i mówić jednocześnie, tylko muszę mówić cicho, by nie spłoszyć legendy. Alkohol już działa, już pali się bladym płomieniem... No chłopcy kłaść się! Przy dogasającem ognisku zbójnicy zwykle spać się kładą. A wy przecież pewno bawicie się w zbójników. Tylko wpierw uzbierajcie jeszcze trochę gałęzi... No dobrze, teraz cisza! Władek, masz pled okryj się! Staszek, dosyć harby! Wypiłeś nicponiu trzy szklanki. Śpijcie dzieci, śpijcie... Widzi pani te niebieskie płomyki, co włóczą się po popiele? Niech się pani ich strzeże. Niech pani nie pozwala by ognisko życia spopielało, i żeby latały po niem płomyki-wspomnienia. To okropnie smutne. Dorzucę do ognia. Niech buchnie jasny, krwawy płomień, niszczyciel wesoły i silny. Tak, tak! Wspomnień żadnych nie chcę — chciałbym spłonąć w chwili najwyższego natężenia sił, o południu... Ciepło pani? No, dobrze, dobrze! niech pani nie marszczy czoła; już nie spytam ani razu. A czy mogę usiąść tu u nóg pani? Skinęłaś głową, milcząca królewno, to dobrze. Zaczynam tedy:

Najprzód niech się pani przeniesie myślą o drobnostkę, o kilka wieków wstecz. Kiedyś tam, za Jagiełłów czy za Piastów było w Tatrach inaczej trochę niż dziś. Wirchy, eh, wirchy to one były dzikie, samotne, skaliste, jako dziś, ale po dolinach nie snuli się żadni, z przeproszeniem, warszawiacy. Nie było też Towarzystwa Tatrzańskiego — nikt nie wyrąbywał kosówki, nie budował nowych *perci* — wydeptywały je owce i kozy, lekkim krokiem chadzali po nich zbójnicy. Lud tu był dziki i swobodny. Żył u siebie zamknięty ścianą granitowych turni, a wieści ze świata nosiły mu tylko orły na skrzydłach i wichry.

Olbrzymy rosły w tych górach — chłopy śmigłe jak smereki, a silne! — poprostu wyrwidęby jakieś. Duch też śmiały i dziki rozpierał im piersi i gnał do walki. Hej, hej! Biada kupcom węgierskim, co przez te wąwozy prowadzili wina w równiny na pańskie stoły. Drżał handlarz lichy, gdy mu nad głową niby krakanie orła, rozległ się wesoły, dziki okrzyk zbójników, a w powietrzu zafurczały toporki.

W one czasy słynął w całych Tatrach Magóra. Najśmielszy on był ze wszystkich, najroślejszy i najdzikszy; nad zbójnikami niby król. Nie było wirchu, na któryby się nie wdarł za kozicami, nie było gniazda orłów, któregoby nie zdobył, gdy mu przyszła ochota. Pana żadnego nie znał nad sobą. Fantazyi tylko słuchał własnej i głosów tajemniczych, co się doń odzywały, gdy został sam w pustyniach kamiennych, lub nad przepaścią schylony łowił uchem nieuchwytne dla innych szmery. Do dziwnej duszy jego mówiła pustka i otchłań mówiła.

Bali go się zbójnicy nawet, bo mieli go za czarownika. On pierwszy miewał zawsze, niewiadomo zkąd, wieści o przejeździe jakiego bogacza. Jego nigdy nie trafiła kula samopału, nigdy na najzawrotniejszej ścieżce nie pośliznęła mu się noga. Pełnemi garściami brał skarby, klejnoty i rozrzucał między lud górski. Dla siebie brał tylko czasem beczkę starego węgrzyna i przy ognisku z towarzyszami zapijał słodki, silny trunek. Ale nie upił się nigdy, orla jego źrenica nie zmętniała ani na chwilę. Powodziło mu się wszystko, wszystko szło jak z płatka. Musiał znaleźć czar-ziele—mówili górale — i gotowi byli pójść za nim w ogień i w wodę. Pociągał ku sobie ich dzikie, nieokiełznane dusze jakąś wielką, tajemniczą potęgą. W zimowe wieczory przy watrach płonących opowiadano o nim długie powieści. Każdy dorastający chłopak marzył, że niedługo pójdzie pod rozkazy Magóry. Marzyły o nim i dziewczęta, ale daremno. Zbójnicki ten wódz rzadko kiedy schodził w doliny, a choć się i ukazał, na najpiękniejszą z pięknych ani spojrzeć nie raczył. Napróżno śmiały się do niego, napróżno zaczepiały spojrzeniem i słowem. Czasem odpowiedział uśmiechem zimnym jak lód, czasem pożartował, i wracał w góry obojętny, dumny. Mówili pomiędzy sobą ludzie, że on tam w górach, gdzieś na najniedostępniejszem miejscu zamek ma kamienny, a w zamku kochankę, do której mu śpieszno, ale zbójnicy śmieli się z tych gawęd. Wiedzieli, że w górach zamku niema, a ktoby go budował i gdzie? Ale wiedzieli też, że czasem Magóra odpędza ich precz od siebie, każe im zejść w doliny, i w całych Tatrach zostaje sam. Dziwili się junacy młodzi, a mię-

dzy ludźmi szedł pogwar głuchy, że Magóra wtedy ze „złym“ się układa.

Był między zbójnikami junak prawy, Tomek mu byłc, a szedł z prastarego rodu Gąsieniców. Ciekawość go paliła straszna, co też on „król“ zbójnicki w chwilach samotności czyni? „Złego“ się nie bał, ale bał się Magóry, i zwlóczył długo, choć miał chęć przestąpić zakaz wodza. W końcu wytrzymać już nie mogący wyruszył pewnej nocy ku stawom Gąsienicowym. Na świtanie zaszedł między turnie. Patrzy, a na Kościelcu, na samym wirchu stoi Magóra, ogromniejszy niż kiedykolwiek, i spogląda się w świat daleki, ku onym zorzom, co gdzieś tam wschodzą. Przy nim stoi cała jasna, jak ze mgły pani biała. Zląkł się Tomek okrutnie i schował za skałę, żeby go Magóra nie dojrzał, ale z za skały wyglądał jednem okiem. I widział, jak ta biała postać oplotła się Magórze koło ramion, koło piersi, i poszli razem, jakby ich siła jaka przez powietrze niosła, po wirchach, hen! I tak bujali po całych Tatrach, aż do słońca wschodu, a potem spłynęli niżej, przejrzeli się w Rybiem jeziorze, i jeszcze niżej, aż gdy pierwszy promyk słońca zczerwienił szczyty, Magóra z mglistą swoją panią zstąpili do tej tu groty. Ujęła ich cisza, ciemność i sen.

Tomek uciekał ku halom, ku dolinom, jakby przez „złego“ ścigany. Poprzysiągł też sobie, że przed nikim o całej tej historyi słowa jednego nie wspomni, i żeby z własnej pamięci ją wymazać, jął się zalecać do dziewcząt.

Najpiękniejszą na całem Podhalu była Hanka Sobczakówna. Tomek rozmiłował się w jej czarnych jak węgiel oczach, w jej ustach koralowych. Ale dziewczyna ani na niego, ani na żadnego z junaków patrzeć nie chciała. Tęskny jej wzrok szedł tam, gdzie majaczyła wyniosła postać i orle pióro zbójnickiego wodza.

Jednego wieczoru zawitał Magóra w doliny. Otoczony junakami szedł ku chacie Sobczaka. Wesół był. Nabrali zbójniki towaru, jak piasku. Kupiec był zdaleka, nie z Węgier, wiózł perły, korale i cacka. Magóra szedł przez wieś i rozdawał dziewczętom: tej chusteczkę barwną, tej kotliczek srebrny, tej pereł sznur, albo szpilkę szczerozłotą. Śmiały się doń za to wszystkie oczy, ze wszystkich ust mógł brać pocałunki. Przed chatą stała Sobczakówna.

— Hanko!—zawołał Magóra—dla ciebie korali najpiękniejszych sznur.

Ale ona odepchnęła go chmurna. Czarne jej oczy gorzały posępnem światłem.

— Weź sobie swoje korale! Co mi po nich?

— Sobczakówna, cóżeś to taka harda?

Spojrzała mu w oczy głęboko, strasznie.

— Słuchaj, albo mię zabij, albo weź!—rzekła cicho, ale tak, że on usłyszał, i krew w nim chłodna zawrzała.

Junakom swoim kazał iść dalej, a sam pozostał.

Wieczór był cichy i ciepły. Zbójnik pił rozkosz z koralowych ust Hanki. Nad górami migały złote błyskawice i grom się rozlegał głuchy...

Poszedł wódz-sokół w góry, poszedł sam i nie wraca. Płaczą junaki śmiałe. Jakoż im bez niego? Kto ich poprowadzi? Kto powie-dzie? Rozeszli się szukać go po halach, po przełęczach, po wirchach. Tomek nieśmiało ku grocie się skrada. Przed grotą leży Magóra, cichy, jakby spał. Serce nie bije — nad sercem mała, krwawa plamka.

I zapłakał lud podhalny po królu swoim, i zawyły po nim wichry górskie. Złożyli go junacy w grocie, grotę zawalili kamieniem i został się tam na wieczną już ciszę i na wieczny sen...

— I koniec już?...

— Tak, to już koniec, pani.

— A więc?..

— A więc źle jest mieć za kochankę mgłę białą. A więc nieszczęsny, po trzykroć nieszczęsny, kto ukochał nie kobietę z krwi i ciała, ale białego ducha szczytów i przepaści—nieszczęsny kto z nią razem ku zorzom wschodzącym spogląda! Nie dotknąć mu już nigdy świeżych ust dziewczęcych! Biała pani mści się śmiertelnym w serce pocałunkiem...

— Nie wątpię już, że gdy zjawią się przed panem Hanka i osrebrzona marzeniem królewna mgieł — pan Hankę wybierze... Pan milczy?

— Wybiorę, pani, jasnego ducha szczytów i przepaści... No, chodźmy do domu!

Helena Ceysinger.

Stowarzyszenia w Chinach.

W chwili, gdy wytoczona zbiorowa akcya mocarstw europejskich wydobywa Chiny z zapomnienia, i zwraca na nie uwagę całego świata, zjawiają się coraz częściej w pismach publikacye oświetlające tajniki wewnętrznego życia tego szczególnego narodu. Szkice statystyczne, opisy właściwości plemiennych i obyczajów—wszystko to gromadzi starannie turysta europejski, illustruje wspomnieniami osobistemi, niejednokrotnie zapewne ubarwia wyobraźnią.

Oto i teraz niejaki Franciszek Mury były komisarz marynarki francuzkiej, który w ciągu służby swojej dłuższy czas odbywał podróże po wodach chińskich, podaje w jednym z przeglądów pracę swoją opatrzoną tytułem: „Dziwaczne stowarzyszenia w Chinach.“ Wyjmujemy z niej kilka szczegółów, które nam się wydają charakterystycztniejsze, odpowiedzialność za ich wiarogodność zostawiając w każdym razie przy autorze.

Utrzymuje p. Mury, że niema na świecie całym społeczności, którаby się równać mogła z chińską pod względem popędu i gotowości do stowarzyszeń. Liczą się też tam asocyacye najróżniejszego rodzaju, już nie na setki, ale na tysiące, co zdaniem piszącego jest nieuniknionem następstwem wadliwości państwowego ustroju. Przedajność w sądzie i urzędzie stawia w Chinach człowieka w konieczności szukania dla siebie obrony, a tę obronę w części jakiejś przynajmniej daje mu zrzeszanie się. Między mandarynem a człowiekiem z ludu niema zetknięć bezpośrednich, tem mniej jakiegokolwiek zaufania. Jedyną formą bytu niewzruszoną jest rodzina, i przez tę jej niepożytość właśnie objaśnia się nam długowieczność tej organizacyi zbiorowej, która uchyla się jedna od powszechnego prawa ewolucyi i stoi niewzruszona, spoglądając na tyle młodszych od niej ustrojów państwowych, które w ciągu jej trwania rozsypały się w gruzy.

W rodzinie wszakże chińskiej każdy jej członek, aby żyć, potrzebuje się schronić w jakiemś stowarzyszeniu. Nie rozbiera on wartości moralnej tej grupy ludzkiej—wystarcza mu natomiast, że jego ojciec i dziad należeli do niej, albowiem w jego mniemaniu tylko idąc śladami przodków stać się można miłym bogom.

Wśród tych stowarzyszeń są takie, które można uważać za dziwaczne — inne, którym przyznać należy charakter filantropijny, ten wszakże z biegiem czasu zanikł tak dalece, że ludzie należący do takich stowarzyszeń budzą dzisiaj tylko nieufność i obawę—są inne jeszcze, którym moralista surowy nie mógłby nic znaleźć do zarzucenia, ale nie brak też i związków otwarcie zbrodniczych, z którymi jednakże dla własnego bezpieczeństwa organa państwowe liczyć się muszą.

I.

W XI wieku przed Narodzeniem Chrystusa panował w Chinach mocarz, którego cześć dla umarłych była nadzwyczajną. Imię jego było Wen-Wang, a czynem, który go unieśmiertelnił tak, że żyje dotąd w pamięci ludu swego, było założenie stowarzyszenia pod nazwą: „Związek grabarzy niepogrzebionych szkieletów”—po chińsku: Yen-Kho Hoei. Zadaniem tych stowarzyszonych jest wyszukiwanie takich zapomnianych szczątków ludzkich i oddawanie im czci przez należyty obchód pogrzebowy. Zajmują się też oni odnawianiem pomników, o które nikt nie dba, równie jak zakupywaniem trumien dla ludzi zupełnie ubogich. Członkowie związku donosić mają obowiązek swojemu naczelnikowi o każdem nowoodkrytem cmentarzysku, a ten w pewnej porze roku wydaje rozkazy, i wtedy wszyscy uzbrojeni w rydle i motyki odbywają wędrówki, aby te schroniska wiecznego spoczynku przyprowadzić do należytego stanu. Poświęcają na ten cel miesiąc czasu lub dwa, trzy nawet niekiedy do roku, a środków do życia dostarczają im wtedy wioski najbliższe.

Stowarzyszenie to używa w Chinach wielkiego szacunku. Działa ono przeważnie przy pomocy miłosierdzia publicznego, a gdy wyczerpie wszystkie swoje środki aż do zużycia łopat i motyk, idzie żebrać o nie do składów narzędzi żelaznych, tak samo jak o trumny i pieniądze do bogatych ludzi. Na pochwałę społeczeństwa chińskiego powiedzieć wypada, że członkowie tego bractwa przyjmowani są wszędzie jak najlepiej.

Każdego trzynastego dnia, siódmego księżyca obchodzonem bywa święto cesarza Wen-Wanga. Jestto obchód nader oryginalny przyznać należy. Wszyscy grabarze idą o wschodzie słońca na cmentarz, oczyszczają tam grobowce, gracują ścieżyny, poruszają ziemię kwietników, podczas gdy inni rozchodzą się po wioskach sąsiednich, aby ukwestować zapasy potrzebne do zgotowania uczty dla nieboszczyków. Wtedy przychodzą do pracujących na cmentarzu, którym niewolno porzucić

roboty do chwili przygotowania festynu, ustawiają wraz z nimi stoły z pożywieniem, a sami w dwóch szeregach nieruchomo i w milczeniu czekają aż zaspokoją głód ci nieżyjący. Że zaś, jak przypuszczać wolno, wielkiego uszczerbku nie doznają tym sposobem owe zapasy, przeto w chwili odpowiedniej rzucają się grabarze na te, jak je nazywają, resztki uczty, i głodni oczywiście z tego cmentarza nie odchodzą.

(*Dokończenie nastąpi*).

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

Niebawem przyszło mu się przekonać, że za grosz złamany nie było w tem wszystkiem ładu a związku, co opowiadano sobie po mieście. Kobieta była stara, przeszło czterdziestoletnia, twarz jej nie nosiła najlżejszych nawet śladów jakiegokolwiek, choćby też od najdawniejszych lat zatartego, wdzięku, a w dodatku miała ta rodzina swoją historyę wcale nieciekawą, która się wprawdzie poniekąd przedawniła, ale którą dopiero wydobyło z pamięci to dające do myślenia uratowanie dziecka. Widząc zaciekawienie Wernera podbudzone zrazu, zgromadził felczer Szyja ile mógł pogłosek i plotek przez lata całe powtarzanych, i oto co w tej sprawie przyniósł pewnego wieczoru, do raportu codziennego się stawiwszy.

— Mąż tej kobiety, w-ny doktorze, to on albo był, albo jego nie było wcale. Tu jego nikt nie widział nigdy. Był tam w jednym dużym dworze lokajem podobno, ale tam się nie popisał bardzo. Zginęły jakieś nadzwyczajne dyamenty, no i na niego było podejrzenie; dostał się nawet za to do więzienia, tam sobie posiedział rok czy kilka roków, bo tego już niewiem dobrze, a w końcu podobno umarł. Ja się pytałem w gminie, to mi powiadali, co ona jest wdowa. To cała historya jest taka.

— A z czegóż ona żyje z dziećmi?

— Czepki robi mieszczankom i gospodyniom z okolicy, a parę razy na rok, jak mówi pocztmistrz, przychodzą dla niej jakieś pieniądze. Zkąd—od kogo? — niewiadomo. To pewne, że przychodzą. To też ludzie powiadają, że on żyje jeszcze, i że to od niego; drudzy to już sami nie wiedzą, co gadają. Takie to sobie widać, wielmożny doktorze, prochowniki są zwyczajne. Ale to się jemu, choćby panu Młodzińskiemu na ten przykład, udała ta operacya!—wtrącił ni ztąd ni zowąd wpatrując się bystro w Wernera, azali mu takie pochwały przykrości nie robią, a niedostrzegłszy nic podobnego zaczął dalej. — Oh, dawniej to nie takie rzeczy robił on jeszcze— i długo i kategorycznie, wedle swojego pojmowania rzeczy, opowiadał o niektórych kuracyach Młodzińskiego uwieńczonych powodzeniem, ale znudzony tem, co przeszedlszy przez usta prostego człowieka, nie przedstawiało dlań wartości żadnej, przerwał mu w końcu dr. Werner.

— Jak się nazywa ta kobieta?

— Michalska.

Bez myśli postawił to pytanie, ot tak, aby rychlej odprawić gadułę, którego obecność poczynała mu ciężyć w tej chwili.

To co bardziej zastanowiło młodego lekarza to zupełna apatya, w jaką popadł po tym wypadku, całkowicie wyjątkowym jak się pokazało, kolega jego starszy. Myślał, że go zainteresuje sprawozdaniem z przebiegu rekonwalescencyi chorego dziecka, że go to ożywi, choćby jako sukces osobisty—nic z tego wszystkiego nie było. Mizantrop popadł w dawny swój zastyg zupełny, ani słowem, ani inną jaką oznaką nie zdradzając skłonności do wyjścia z dotychczasowego kwietyzmu swego.

D rowi Wernerowi wydawało się, że ten stan jak najściślej określić się daje naukowo, a ile razy przypomniał sobie gorliwe zalecenia baczności, jakich mu udzielał na wyjezdnem radca, tyle razy mówił do siebie:

— Już to ci wszyscy laicy, o zapalnej zwłaszcza wyobraźni, zawsze gotowi budować rusztowania całe kombinacyi, które się od jednego podmuchu zimnej krytyki w proch rozsypać gotowe. Że był to kiedyś człowiek— w to uwierzyć nietrudno, że dzisiaj jest ruiną, to także przecież widzi każdy, ale żeby tu jakieś nadzwyczajne przyczyny składać się miały na ten proces upadku, nie wiem — nie zdaje mi się.

I w tym duchu napisał pierwsze listowne sprawozdanie swemu protektorowi, które ponieważ opierało się na jakiejś niby kilkomiesięcznej obserwacyi, wydało mu się jako referat naukowy wystarczająco umotywowanem.

„Żadnych niespodzianek dla mnie — nic nowego, a przedewszystkiem nic alarmującego.“

Tak się kończył ten pierwszy list d-ra Wernera do radcy Z..go w Warszawie.

A tymczasem czas płynął swoją koleją, a dr. Werner nie miał zgoła prawa skarżyć się na to, co mu on ze sobą przyniósł. W miarę wkładanej w spełnianie swego zawodu pracy, rosła wziętość, rosła nawet w rozmiarach nieprzewidywanych, a kilka szczęśliwszych kuracyj rozsławiło w krótkim czasie młodego lekarza. Miał już teraz domy, w których cieszył się znacznym kredytem; miał i takie, w których był niezbędnym w rozumieniu nawet towarzyskiej zażyłości. Jednym z ludzi, których obcowanie było dlań najpożądańszem, był niejaki Strejch, ziemianin blizko Czarnobrzegu mieszkający, który wbrew nazwisku obcego brzmienia, przedstawiał typ wybornie zaaklimatyzowanego, a nawet zupełnie zadomowionego na ziemi naszej obcokrajowca. Wprawdzie w drugiem już pokoleniu żyła rodzina jego w tych stronach, ale też cudzoziemskiego pochodzenia nic prócz imienia w tym człowieku nie przypominało. Przeżył tu złe i dobre chwile, a swoje serdeczne złączenie ze społecznością miejscową, raczej pierwszym niż ostatnim zawdzięczał.

Po wejściu dopiero w poufalsze z doktorem Wernerem zbliżenie, zagadnął go razu pewnego o zdrowie odludka, o którym wiedział dobrze, że jest i sąsiadem o ścianę i gospodarzem domu, w którym młodszy kolega sam się za lokatora uważał. Zresztą wszak z jego woli był wybranym zastępcą na stanowisku, które on niegdyś z takim dla okolicy pożytkiem zajmował. Ta powściągliwość robiła dotąd zawsze na Wernerze wrażenie, jak gdyby Strejch nie miał do niego dosyć ufności, aby o Młodzińskim wszczynać rozmowę. Że byli ci dwaj ludzie niegdyś ze sobą bardzo blizko, wiadomem było Wernerowi z kilku okoliczności—że nie byli poróżnieni, ani się rozstali z niechęcią wzajemną, wiedział od Młodzińskiego, który z wielką się o Strejchu wyrażał życzliwością. Jednem słowem wyrobił sobie Werner to przekonanie, że zbyt dalekim był Strejchowi znajomym, aby ten ostatni z nim o starym druhu i niegdyś towarzyszu mógł się wywnętrzać.

Przy jednej z dłuższych pogawędek, w których stary tubylec nowicyusza lekarza z kroniką powiatu obznajmiał, znać było, że nie ma on zamiaru milczeć, i że owszem czuję potrzebę wejścia w bliższe objaśnienia. Na zapytanie o zdrowie Młodzińskiego odpowiedział Werner wymijająco, ale tak, aby rozmowie nie pozwolić się urwać na pierwszym ogólniku.

— Co tu mówić o zdrowiu takiego, który ani żyje, ani chce żyć!

— Zapewne. Ale abyśmy mieli nadal wątek do omawiania tej kwestyi, ja potrzebowałbym wiedzieć, o ile pan wtajemniczonym jesteś w tę zagadkę, nad [którą wszyscy sobie tutaj, nie wyjmując i mnie, łamali głowy, i wszyscy w końcu musieli przyznać, że nie pojmują z niej nic, ale to nic zgoła!

— Cóż to za misterya takie szczególne — zarzucił z pewnym odcieniem lekceważenia Werner, przekonany nie bez słuszności, że bagatelizując rzecz, daje wielomówności Strejcha najskuteczniejszą ostrogę. — Co do mnie, ja wiem mało, to prawda — mówił dalej—ale zdaje mi się, że dosyć znam życie, aby się nie dziwić niczemu. Codziennie przechodzimy obok zwalisk, a czy w nie grom uderzył, czy im woda podmyła fundamenty, to już na jedno wychodzi zupełnie—rumowisko jest rumowiskiem, niczem więcej.

— Ah ba! to się tak mówi, ale to tak nie jest, a nadewszystko nie powinno być takiem dla psychiatry, niechaj to będzie bez obrazy twojej doktorze, bo wiemy coś niecoś i o specyalności naukowej pana. To nie jest wcale przypadek jeden z tysiąca — to owszem zbieg okoliczności nader skomplikowany, którego rozwikłanie mnie samego dużo kosztowało bezużytecznego mozołu. To nie byle jaka budowa zresztą zgorzała na oczach naszych, i dlatego my nie mogliśmy sobie, patrząc a nie pojmując, powiedzieć: było nie było!

— Aż tak?

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Kolonizacya na obczyźnie.

Aby zapobiedz choć w części smutnym następstwom wysiedlania się epidemicznego naszej ludności rolnej w dalekie kraje, gdzie niezmierny jej procent ginie z nędzy, zanim się do jakiejkolwiek organizacyi swojskiej przyłączyć zdoła, zawarło po długich usiłowaniach Lwowskie Towarzystwo kolonizacyjno handlowe reprezentowane przez swego pełnomocnika p. Zenona Lewandowskiego przemysłowca z Gniezna, z władzami stanu Parana w Brazylii umowę tej osnowy:

Towarzystwo Lwowskie nabywa od rządu Parańskiego 50,000 hektarów (10 mil kwadratowych) najprzedniejszej ziemi, z prawem eksploatowania na tej przestrzeni wszelkiego rodzaju bogactw mineralnych, budowania dróg i kolei żelaznych — to wszystko bez potrzeby uzyskiwania na każde z tych przedsięwzięć osobnych pozwoleń i koncesyj.

Nabyte przestrzenie leżą między istniejącemi już wielkiemi koloniami polskiemi: Rio Claro i Prudentopolis. Leżą one na płaskowzgórzu w klimacie umiarkowanym, w glebie nadającej się pod uprawę zbóż europejskich. Koloniści polscy otrzymywać będą działki obejmujące 25 hektarów na spłatę, niemniej zapewnione mieć będą środki przeżywienia siebie i rodzin aż do pierwszych zbiorów.

Nowe kolonie o nazwach polskich otrzymają od samego początku należycie zorganizowany samorząd pod nadzorem Towarzystwa kolonizacyjno-handlowego, z własną policyą, zarządem dróg i komunikacyi i projektowaną przez zarząd Towarzystwa własną żeglugą parową na rzece Iguaasu.

Po dopełnionym pomiarze terenów Towarzystwo rozpoczyna niezwłocznie swoją czynność.

Do konkurencyi z Towarzystwem kolonizacyjnem naszem stanęły podobno kompanie: niemiecka i angielska, dzięki wszakże wpływom i energii przedstawiciela Austryi konsula Wilhelma Pohla utrzymali się nasi. Będzie to zatem pierwsza próba ujęcia ruchu emigracyjnego w pewne karby — czyli innemi słowy, będzie to pewnego rodzaju szczęście w nieszczęściu.

Szkoła.

Na gruntach niegdyś dóbr Ołtarzew położonych za rogatką Wolską b. inspektor warszawskiego Ogrodu Pomologicznego p. Aleksander Girdwojn zakłada na wielką skalę, bo na 60-ciomorgowej przestrzeni wzorowy ogród owocowo - warzywny, który zatrudnia już dzisiaj 20-tu praktykantów. Dla tych ostatnich p. Girdwojn miewa peryodycznie demonstracye praktyczne niezależnie od zajęć zwyczajnych. Zakład ten pomieścił u siebie szkółki drzewne i plantacye krzewów ozdobnych przeniesionych z wzorowego ogrodu Kronenberga; zaszczepiono też tam 200,000 drzew owocowych, najlepszych gatunków dostępnych naszemu klimatowi.

Wskazówki i rady.

Solenie masła.

Przy soleniu masła w większych partyach na zimowe przechowanie, należy przedewszystkiem oswobodzić go od zawartej w nim maślanki, której pozostawienie wpływa niekorzystnie tak na smak, jak i na trwałość masła. W tym celu trzeba rozdzielić masło na kawały kilkofuntowe, każdą część oddzielnie pognieść i solą posypać, potem ułożyć jedną na drugiej i przez prostopadłe kłucie części w miętoszeniu oddzielić, ułożyć na desce i gniotąc bez przestanku, sól równomiernie wciskać. Pozostawić tak masło 6 — 8 godzin, co jest koniecznem, ażeby masło z solą dobrze się złączyło. Jeżeli masło jest miękkie, na złączenie to mniej potrzeba czasu np. 3—4 godzin w lecie, w zimie zaś daleko dłużej, poczem ugniatać powtórnie. To drugie ugniatanie jest bardzo ważne i skuteczne, bo służy do wydalenia z masła pozostałych cząstek maślanki, oraz zbytecznej słonej wody. Nie należy masła przerabiać więcej nad potrzebę, gdyż masło zanadto wyrobione traci delikatny smak, aromat i inne właściwe swoje cechy. Doświadczenie tylko wskazać tutaj może należytą miarę. Tak urządzone masło układać w kamienne garnki lub drewniane faseczki proszone solą, mocno uciskać, starannie zakryć i przechowywać do użytku, w chłodnem miejscu.

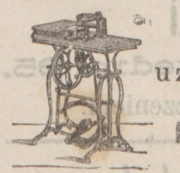
Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Bernar. Poszt. w Kart. Dla Sz. Pana potrzebne jest konieczne pozwolenie naczelnika powiatu lub gubernatora na prawo prowadzenia warsztatu introligatorskiego; inaczej żaden zakład giserski liter Panu nie sprzeda.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.





Przyjechawszy z Paryża otworzyłem

Zakład artystyczno-fotograficzny

przy ul. Bielańskiej 18

pod firmą

P. LEVIN

Robota staranna i akuratna.

Uczącym się rabat 2061

BIURO NAUCZYCIELSKIE

pierwszorzędne

JASIŃSKIEJ

WŁODZIMIERSKA 19.

Ma do umieszczenia Nauczycieli, Nauczycielki i Bony różnych narodowości. 2041

Pracownia Sukien i Okryć Damskich.

Kamilli WAYDEL

Aleja Jerozolimska № 31,

wykonywa powierzone jej roboty starannie i prędko, **po cenach umiarkowanych.**

NOWO-OTWORZONY 2034

Magazyn wyrobów srebrnych i złotych

S. SUKERT

Bielańska N. 9, Hotel Paryzki, w Warszawie

poleca srebra stołowe, cukiernice, papierośnice i t. p. oraz srebrną i złotą biżuteryę, przyjmuje obstalunki i reperacyę.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko-Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs** kop. 1.20, **II-gi kurs** kop 3.20 **Gramatyka Polsko-Francuska,** kop. 1.20.

SAMOUCZEK **Polsko-Rosyjski** 32 zeszyty po kop. 10 (pocztą kop. 13). Na pocztę dopłata do każdego rubla po 25 kop.

Skład u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 2106

Rękawiczki **NAJLEPSZE!!**

U KOWALKIEWICZA

Krucza 49—Warszawa

róg Alei Jerozolimskiej.

SKŁAD WYROBÓW LNIANYCH I BAWEŁNIANYCH

Fr. Tomaszkiewicz

Długoletni współpr. firmy Żyrardów

w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście № 64), Gmach Resursy Obywatelskiej,

poleca:

Płótna Bielefeldzkie, Żyrardowskie, Jarosławskie i Włościańskie Prześcieradła płócienne i bawełniane, Chustki do nosa, Ręczniki, Bielizna stołowa, Madapolamy, Victorya, Kołdry watowe i pikowe, Dryllichy na materace, Wyroby pończosznicze, Wielki wybór firanek i t. p. 2043

Polecamy! Nowo otworzony

Skład Nici

Waleryi Podkowińskiej

Krakowskie Przedmieście № 14.

GRONKIEWICZ Telefonu 1758. **Kaucyonowane Biuro Rekomendacyjne**

Załatwia wszelkie czynności w zakres biura wchodzące. **DZIAŁ DAMSKI** prowadzony bardzo starannie. **Królewska № 6 róg placu Saskiego.**

S. HISZPAŃSKI

SZEWC 2047

Od 1 Lipca tylko **Erywańska № 16.**

BIURO REKOMENDACYJNE

K. Wasilewskiego

b. Nauczyciela Gimnazyum

Marszałkowska 137.

Telefonu 1455.

tylko z dobremi rekomendacyami Guwernerzy, guwernantki, bony polki i cudzoziemki.

ZOFJA KRAKÓW

Z PARYŻA

KAPELUSZE, NOWOŚCI.

4. Czysta 4. 2046

BLECHSCHMIDT Szewc przeniósł się z Nowego Światu **na CHMIELNĄ № 31**

2050 **(Hotel Royal)**

Poleca się względom Sz. Publiczności.

Zmiana adresu

Magazyn Zegarmistrza W. GRABAU

egzystujący od 1873 roku 2055

przeniesiony został na ulicę **Nowy-Świat 57.**

Po długoletniej pracy u W-nej Marczewskiej otworzyłam Pracownię Kapeluszy Damskich przy ul. Szpitalnej Nr. 6, pod firmą ***„Romana."***

Kapitał zakładowy 10,000,000 rubli. Zarząd w Moskwie.

Towarzystwo Handlowo-Przemysłowe

NASTĘPCA ALEKSIEJA GUBKINA

A. KUZNIECOW I S-KA

ma zaszczyt zawiadomić o otwarciu na gub. Królestwa Polskiego od dnia 8-go Lipca r. b. własnego SKŁADU HERBATY w Warszawie przy ulicy

Nowy Świat Nr. 36.

Firma egzystuje od 1840 roku.

Kantory własne w Chinach dla bezpośrednich zakupów herbaty i fabryka w Hankou dla produkcyi herbaty w cegiełkach i tafelkach.

Ważenie i pakowanie w Moskwie, Odessie, Tiumeniu i Samarkandzie.

Główny skład i sprzedaż herbaty w Moskwie.

Składy w St.-Petersburgu, Odessie, Astrachaniu, Samarkandzie. Rostowie nad Donem, Charkowie, Niższym Nowogrodzie, Kazaniu, Samarze, Ufie, Czelabińsku. Permie, Kangurze, Ekaterynburgu. Tiumeniu, Kurganie, Omsku, Tomsku, Krasnojarsku, Irkucku, Kjachcie, Sreteńsku i Błągowieszczeńsku oraz podczas jarmarków Niżegorodzkich, Irbitskich, Menzelińskich, Krestowskich, Urupińskich i innych.

Chińską, chińsko-cejlońską i czysto cejlońską herbatę

w paczkach od 1 zołotnika do 1 funta w opakowaniach papierowych. blaszanych lub chińskich pudełkach—w cenie od rub. 1.20 do rub. 300, zieloną, żółtą, aromatyczną, kwiatową, na obstalunek i w różnych cęnach.

Herbatę dostać można we wszystkich większych składach kolonialnych w Warszawie i innych miastach gub. Królestwa Polskiego.

Obstalunki wykonywają się starannie i akuratnie.

Adres dla telegramów: **Warszawa. Gubkin-Kuzniecowu.**

Adres dla listów: **Warszawa—Towarzystwo Handlowo-Przemysłowe Gubkin-Kuzniecow i S-ka.** 2115

LODOWNIE POKOJOWE NA RATY

z całoroczną dostawą lodu sztucznego

sprzedaje ***FABRYKA*** lodu na warunkach najdogodniejszych.

LODOWNIE starannie wykończone.

BIURO: Włodzimierska 16 m. 2, Telef. 466.

Biuro Rekomendacyjne

GRETILLAT

10. Niecała 10.

rekomenduje nauczycieli, nauczycielki francuzki, niemki, freblówki, bony, polki gospodynie, panny służące, kasyerki, bufetowe. 2098

Magazyn Paryskiej Galanteryi



SKÓRZANEJ

„à la Ville de Paris"

(Maroquinerie Parisienne)

Albumy,

Portfele,

Woreczki,

Portmonetki,

Nessesery i t. p.

Marszałkowska 132. 2035

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS

nieszkodliwy,

dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**

Pudełko kop. 15. 30 i 50.

Główny Skład Solna № 9.

190

Wielki wybór ceny nizkie.

Skład

SZKŁA, KRYSZTAŁÓW

Porcelany, Fajansu, Majoliki

oraz

Własna Malarnia

na porcelanie

T. Z. OSIŃSKIEGO

ulica Marszałkowska 142.

w Warszawie. 2120

Fabryka Gorsetów

„ALEKSANDRINE"

Elektoralna № 29.

Długoletnia pracowniczka pierwszorzędnych firm poleca Gorsety kroju francuzkiego począwszy od rs. 2, jak również wykwintne, atłasowe, z wstążek i batystowe. Gorsety hygieniczne dla uczennic do równego trzymania się. Ceny umiarkowane. 2119

Zakład 154

Ogrodniczy

W. GARNUSZEWSKIEGO

Krakowskie-Przedm. N-r 5

poleca wszelkie wyroby w zakres specyalności wchodzące.

Ogrody własne w MOKOTOWIE, Kolonia N-r 6 C.

KAUCIONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

profesorowej CLAVEL

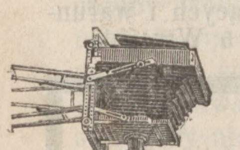
w Warszawie, Warecka 10

poleca:

Nauczycieli, Nauczycielki,

Wychowawczynie i Bony.

Korespondencye z Francyą, Szwajcaryą, Niemcami i Anglią. 139



Aparaty fotograficzne ręczne błonkowe:

„Kodak," „Lloyd," „Delta" i inne,

nie wymagające **ani ciemni, ani umiejętności fotografowania.**

Na sezon letni do wycieczek i podróży!

poleca **P. Lebiedziński**

Warszawa, Krak. Przedm. 65.

Wysyłka na prowincyę za zaliczeniem.

APTEKA K. WENDY

Krakowskie Przedmieście 45, w Warszawie.

Wody mineralne wszelkich źródeł

naturalne i sztuczne.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Августа 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.